

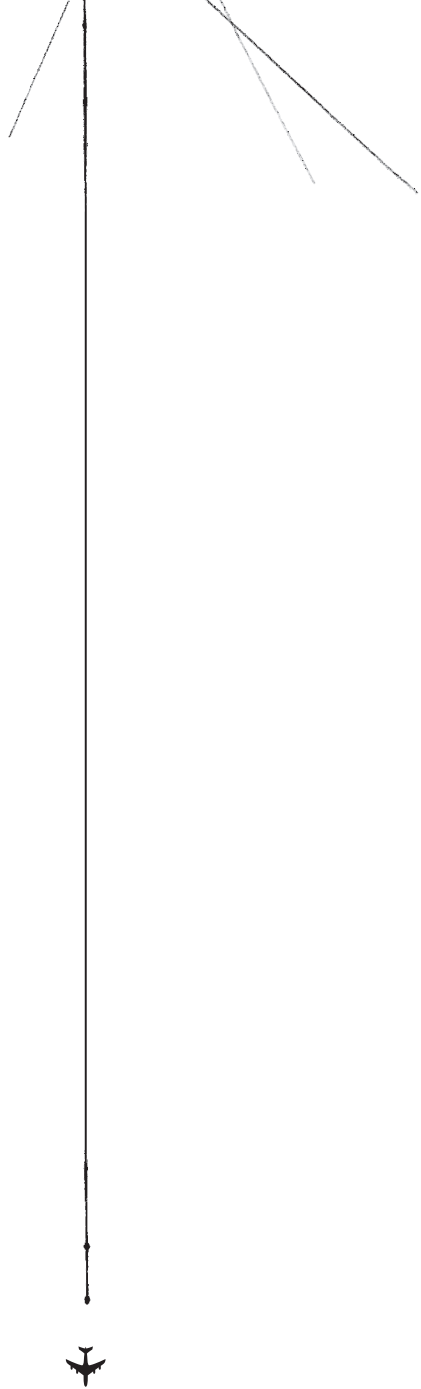
. . . archipelagi . . .

TOMASZ

PIĄTEK

wąż w kaplicy





. . . w serii ukazały się . . .

- Wojciech Albiński *Achtung! Banditen!*
Lidia Amejko *Żywooty świętych osiedlowych*
Andrzej Bart *Rewers*
Joanna Bator *Piaskowa Góra*
Joanna Bator *Chmurdalia*
Dawid Bieńkowski *Nic*
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*
Szymon Bogacz *Koło kwintowe*
Jacek Dehnel *Lala*
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*
Jacek Dehnel *Balzakiana*
Jacek Dehnel *Fotoplastikon*
Agnieszka Drotkiewicz *Teraz*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Marek Kochan *Plac zabaw*
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Senność*
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*
Daniel Odija *Kronika umarłych*
Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich*
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*
Janusz Rudnicki *Śmierć czeskiego psa*
Sylwia Siedlecka *Szczeniaki*
Sławomir Shuty *Zwał*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Ruchy*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*
Marek Soból *Mojry*
Wojciech Stamm *Czarna Matka*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

TOMASZ PIĄTEK

wąż w kaplicy

Copyright © by Tomasz Piątek/Syndykat Autorów, 2010
Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

*I wyrzygał truciznę na Chleb
I wyrzygał truciznę do Wina
Więc wygodny znalazłem se Chlew
By na gnoju się pokłaść przy Świniach*

William Blake, *I saw a Chapel*,
tłumaczenie Tomasz Piątek

*Czy widzicie: w mroku odchodzą idee rzeczy i czyści
ludzie, których nigdy nie było,
i że Chrystusa tylko szatan wymyślił,
żebyście mogli co dzień zabijać boga i miłość*

Krzysztof Kamil Baczyński, *Wyzwanie*

*Czasami ktoś od progu wołałby:
„panie Baczyński, telefon do pana” –
i nic dziwnego w tym nie byłoby,
że to on i że wstaje obciążając sweter*

Wisława Szymborska, *W biały dzień*

Część pierwsza
GALICYJSKA WIOSNA

Dżuma. Gdybyż to, z czym walczyłem, było dżumą! Wtedy, otwierając tę książkę, wkraczalibyście w historię piękną i budującą: w opowieść o dwóch chłopcach i zarazie.

Chłopcy bawią się w brudnych podworcach Krakowa, skaczą po rozchwianych brukowych kamieniach, spomiędzy których tryska szaroczarne błoto. Jeden chłopiec ze śmiechem goni drugiego między drabiniastymi wozami na placu Szczepańskim, między przekupkami o sinych twarzach i zimnych oczach, między przyjezdnymi chłopami, co wyglądają jak gryzonie albo jak przez gryzonie obgryzieni. Przekupki nie przepędzają młodziutkich przyjaciół, żaden gospodarz nie zamachnie się na nich batem. Wąsate i zębate twarze sterczące zza główek kapusty uśmiechają się, bo widzą w chłopcach to, co w swojej kapuście. Wiosnę.

Nagle jeden z chłopców kopie nie do końca jeszcze zdechłego szczura albo gołębia. Następnego dnia, rozpalony na buzi i czole, kładzie się do łóżka. Anioł

w długiej białej sukni z koronkami zmienia mu kompres na czole, to mama. Anioł w długiej szarej sukni z fartuchem próbuje wcisnąć mu łyżkę z rosółem do ust, to niania. Rosół, kompres i dwa domowe anioły nie mogą zwalczyć choroby, nabrzmiewającej pod pachami dziecka ropą, zgniłą limfą. Chłopiec umiera, jego przyjaciel płacze. A potem przyrzeka sobie oraz osieroconym rodzicom kolegi, że poświęci życie, aby zwalczyć dżumę.

Wstępuje na uniwersytet i tam staje się jeszcze bardziej śmiertcionośny niż sama dżuma. Oczywiście, śmiertcionośny dla pełzających kreatur śmierci. Łowca mikrobów, bicz boży dla stworów podłużnych i obłych, machających wąsikami i włoskami. Po życiu pełnym trudu, a nieraz i biedy, dorosły mężczyzna odkrywa szczepionkę. I znowu płacze. Podwójna ofiara – jeden chłopiec musiał oddać życie dżumie, drugi musiał jej życie poświęcić – przyniosła skutek. Laboratoria pracują pełną parą, dym leci z kolb i probówek, fabryki produkują seryjnie szczepionkę, cudowne *serum antidotum*. Znowu człowiek – potęga serca, myśli i pracy – dał światu odkrycie.

Gdybyż taka była moja historia! Może przebiegłaby trochę inaczej – nie znam się na dżumie, nie jestem w końcu epidemiologiem – ale na pewno skończyłaby się dobrze. Niestety, piekła, które próbowałem leczyć, są o wiele bardziej mordercze. Jeden tylko widzę punkt wspólny: w mojej historii, tej prawdziwej, też są szczury.

Nazywam się Andreas Issli. Już prawie o tym zapomniałem, dziwnie zaczyna brzmieć w moich uszach to nazwisko – zresztą ono jest dziwne, zarówno dla Niemców, Polaków, jak i Włochów. Nie używałem go od lat i jeśli teraz zapisuję je na kartce, to tylko dlatego, że nikt tej kartki nie zobaczy, póki żyję. Jest to nazwisko przeklęte najgorszym dzisiaj przekleństwem – nazizmem. Jestem, właściwie byłem nazistą, przez krótki czas, ale owocny. Wiem, wiem dobrze: nie powinienem nawet próbować się tłumaczyć. Nie powinienem wyjaśniać, jak do tego doszło, ani przedstawiać swoich motywacji: dla psychologów z modnej dziś szkoły behawioralnej liczą się tylko objawy. Ci wrogowie samego pojęcia duszy – behawioryści, nie naziści – próbują opanować najważniejsze gremia zajmujące się właśnie badaniem duszy. Wolałbym, żeby żaden z nich mnie nie badał. Także dlatego, że jeśli jacyś behawioryści dotrą tutaj do mnie, to raczej ci, którzy pracują na zlecenie najbardziej niemiłego ze zgłębiających duszę gremiów. Chodzi o pewną potężną amerykańską agencję, inwigilującą szczególnie starannie tę półkulę globu, na której obecnie się znajduję. To jest jeden z najważniejszych powodów, dla których to, co teraz piszę, pozostanie moją dozwogoną tajemnicą.

Codziennie zstępuję w podziemia Banco Libertador i powierzam skrytce kolejną porcję zapisanych kartek, dbając o to, aby były należycie ponumerowane i ułożone. Jest to grzeczność z mojej strony, wyświadczona komuś, kto będzie przeglądał te zapiski po mojej śmierci

(a więc grzeczność o smaku nieśmiertelności). Nadzorca skrytek podziemnych, szczupły i wielkooki Rodrigo Bum, jakoś jednak nie wzdycha i nie przywdziewa maski zniekania, tylko uśmiecha się chłopięco, kiedy codziennie zakłócam jego wspaniałą wielogodzinną beczynność. Tu zresztą nikt nie przywdziewa takiej maski, nawet jeśli nazywa się Rodrigo Bum. Tu każdy może się nazywać, jak chce: Diego Skrovanek, Carmelita Schweinfisch czy nawet – wybac mi, o Wielki Archetypie, ten żarcik! – Jesus Rotschild. Gdyby nie przeszłość, ja też mógłbym przedstawiać się tutaj jako Andreas Issli i chociaż poproszono by mnie nieraz o powtórzenie nazwiska, nikt nie robiłby tej osobliwej, niedosłysząco-niedowierzającej miny, z jaką spotykałem się wszędzie indziej. Być może miałbym trochę kłopotów, gdybym przedstawiał się jako Andrea Iselli – jeśli jakieś nazwiska nie są tu w cenie, to włoskie.

Ja jednak nie przedstawiam się ani jako Iselli, ani jako Issli, ja już nazywam się inaczej. Ale zmiana nazwiska, jeśli nawet jest jakimś zabiegiem terapeutycznym, starcza na krótko. Nie można stać się nowym człowiekiem poprzez wyrobienie sobie nowego paszportu, choćby doskonale sfalszowanego. Nie można tego osiągnąć bez bólu. Czasem w ogóle nie można już stać się nowym człowiekiem, a i tak trzeba swoje przeboleć. To jest mój przypadek. Dlatego na tych kartkach wracam do tego, co się stało. Właśnie – do tego, co się stało. Nie po to, żeby wybielać siebie, powołując się na swoją motywację, nie po to, żeby się

usprawiedliwić, ale nie po to również, żeby się oczernić. Cel jest trudniejszy: żeby zobaczyć.

Nazwisko zawdzięczam dziadkowi, który przybył do Krakowa ze Szwajcarii. W jego stronach mówiono w mieszanej gwarze, ni to łańcińskiej, ni to niemieckiej. Wszyscy jednak wyobrażali sobie, że mówią po niemiecku lub po włosku. Mężczyźni, jako ludzie pracy i interesu, wybierali język pracy i walki, kobiety optowały za włoskim i już w dziewiętnastym wieku utarło się tak, że każda rodzina miała dwa nazwiska, a właścicielowi jego dwie formy do wyboru – tę niby niemiecką i tę pseudowłoską.

Takie zamieszanie miało jedną zaletę: człowiek który od dziecka mówi w dwóch różnych gwarach, łatwo uczy się następnych. To z kolei ułatwia emigrację, w przypadku mojego dziadka dość naturalną, ponieważ był cukiernikiem. Dziewiętnasty wiek – czasy wielkich migracji cukierników, całą Europę przemierzali misjonarze słodczy, a Szwajcarzy cieszyli się wśród nich szczególnie dobrą reputacją i wszędzie byli mile widziani. Dziadek dotarł w miejsce osobliwe – wolne miasto, maleńka republika, na dalekich, północno-wschodnich rubieżach Austrii. Nazywało się to Kraków, zamieszkane było przez wąsatych i wąsikowatych Polaków, ze sporą przymieszką Żydów, Ormian, Czechów i ludzi niemieckojęzycznych, którzy nazywali siebie *Deutsch*, ale którzy bardzo różnili się od tych, co dzisiaj nazywają się Niemcami.

Był koniec roku 1845, gdy dziadek założył tam cukiernię. A zaraz potem przyszła wiosna. Na Rynek krakowski wybiegł chłopiec. Łatwo mogę go sobie wyobrazić. Nie, nie muszę sobie wyobrażać – ani chłopca, ani miejsca. Tyle razy potykałem się na Rynku o sterzące kamienie brukowe. Chłopca też znałem, chociaż zginął okropną śmiercią pół wieku przed moim narodzeniem. On odradza się w każdym pokoleniu i ogłasza Odrodzenie, Powstanie, Wybuch Ducha. W 1846 roku też je ogłosił. I to wystarczyło, żeby konwulsje ogarnęły cały Kraków wraz z przyległościami, czyli z Austrią, Rosją i Prusami. Bo miasteczko-państewko było otoczone przez trzy największe mocarstwa kontynentu i znajdowało się pod ich nadzorem.

Ci krakowianie, którzy nie byli chłopcami, zamknęli się w swoich ciemnych domach i nieduże to miasto przez chwilę nie było miastem szczurów, tylko aniołów. Na ulicy żadnych wąsików, tylko jasnowłose istoty o gładkich twarzach z przedwczesną nieśmiertelnością w oczach. A jednak było to miasto szczurów, bo wszystkie domy zmieniły się w ciemne nory. Ci, co nie byli chłopcami, pozamykali okiennice, zaciągnęli zasłony, nawet firanki, jeśli kto miał – i siedzieli w swoich salonach w mroku, w cuchnącym milczeniu. Starali się bardzo, aby nie dobiegł ich ani jeden odgłos z miasta aniołów. Zapewne bali się usłyszeć głosy Chorwatów albo Kozaków. Ale jeszcze bardziej bali się usłyszeć głosy Polaków: Rodacy, do broni! A najbar-

dziej bali się słów: Proszę mnie wpuścić, proszę mnie schować!

Mój dziadek bardzo się zdziwił, kiedy się nagle dowiedział, że jest w Polsce. Nigdy nie zamierzał wybierać się tak daleko. Jego celem była raczej Austria, w najgorszym wypadku austriackie pogranicze. Wiedział jednak, co robić. Wstrzymał wyrabianie ciastek. Przeznaczone do ich produkcji rummy, poncze i likiery kazał wystawić do kantorku. Dokładnie tak, jak się spodziewał, chorwaccy żołnierze zatrzymali się na tym kantorku, dziadek osobiście im nalewał i dziękował za uratowanie go przed chłopcami. Dzięki temu nikt nie zajrzał do piwnicy, gdzie wśród wałków, dzieł i stolnic kulili się właśnie ci chłopcy. Nie wiem, czy jeszcze jacyś uratowali się w Krakowie. Dziadek opowiadał, że bramy kamienic były dla nich zamknięte.

Część na pewno zbiegła na wieś, tam też się zaczynały niepokoje. Chłopcy przyszli do chłopów, opowiadać im o odrodzonej Polsce, w której chłopcy mieli wreszcie zaznać sprawiedliwości. Chłopcy nie mogli się nadziwić. „Patrzajcie – mówili w swojej gwarze – jak to ślicznie gada, jakie to śliczne, jak jaki aniołek”. A potem przywiązywali takiego aniołka do słupa i tłukli go drągami, aż tracił krew, przytomność i zęby. Gdy aniołek się budził z omdlenia, tłukli go znowu, a kiedy po trzecim omdleniu wreszcie znużeni się aniołkiem, wzywali austriackich żandarmów i ci wlekli bezzębne aniołka znowu do Krakowa, który już nie był miastem aniołów, wręcz przeciwnie. Bo Kraków nagle stał

się Austrią, nie było już wolnego miasta Krakowa, tylko prowincjonalne austriackie Krakau, i w końcu aspiracje mojego dziadka się spełniły. Był już w całkowicie austriackiej Austrii i karmił austriackie miasto słodyczą. Po tym wszystkim, co się stało, potrzebowano słodczy.

Dziadek jednakowoż bał się, że nigdy mu nie przebaczą tego, iż pomógł chłopcom. Znał mieszczaństwo, szwajcarskie, niemieckie, austriackie, i wiedział, że ono zamyka przed wichrzycielami nie tylko bramy, ale też coś więcej. Głowy, serca, pamięć, jakkolwiek to nazwać. Wichrzycieli się wykreśla. A jeśli ktoś wichrzycieli nie wykreśla, to takiego kogoś z kolei się przekreśla.

Ale okazało się inaczej. Kiedy wichrzyciele zostali zakłuci bagnietami albo wypluwali sobie płuca przykuci do tacek w wojskowych twierdzach, albo w najlepszym – o, jakże szczęśliwym – wypadku zostali zesłani do Ameryki Południowej, okazało się, że nie są wichrzycielami, tylko aniołami.

Byli ludzie, którzy pozwolili aniołom skamlać u swoich drzwi, bram, murów. Byli ludzie, którzy zatykali uszy, aby nie słyszeć, jak bagnet zgrzyta o zewnętrzną ścianę ich domu, gdy przechodzi na wylot przez ciało anioła. I teraz ci ludzie przychodzili do mojego dziadka, aby winszować mu prawdziwie patriotycznej, polskiej postawy. Mówili, że jest wzorem, niemal takim – dodawali szeptem – jak ci, co zginęli, jak nasze młode, długowłose anioły, bagnietem przebite i do

taczki przykute, które są wzorem dla przyszłych pokoleń. I prowadzili ze sobą te przysze pokolenia do jego cukierni, pokazywali ją swoim dzieciom, jakby chcieli im powiedzieć: Nie ma to jak zostać aniołkiem, sama słodycz.

To oczywiście przyczyniało się niezgorzej do powodzenia cukierni. W jednej chwili mój dziadek został bogaczem i Polakiem. Ale gdy stał się jeszcze większym bogaczem, to Polakiem być przestał. A stało się to tak: cesarz, w podzięce za katowanie aniołków u słupa, zwolnił chłopów z pańszczyzny. Pozbawiona niewolników polska szlachta zaczęła na swych majątkach bankrutować. Wtedy dziadek, który zastanawiał się, jak zainwestować pieniądze, postanowił zrobić dobry uczynek. Zaczął ratować podkrakowską szlachtę, kupując od niej drewno, całe zagajniki, a potem już całkiem duże lasy. I był to uczynek dobry także dla niego samego – kiedy uwolnieni chłopci i zrujnowani szlachcice zaczęli szukać szczęścia w miastach, bardzo wzrosło tam zapotrzebowanie na opał i drewno budowlane. Dziadek z czasem mógł sobie pozwolić na to, aby samemu stawiać małe tartaki, co jeszcze pomnożyło jego dochody. Uwolnieni chłopci umierali z głodu i gotowi byli pracować za bochenek chleba. A że dziadek dawał im trochę więcej, został dobroczyńcą także i chłopów. I wtedy Kraków odwrócił się od dziadka. Wiele lat później pytałem: Dlaczego?! Dlaczego się od niego odwrócili?! A wtedy ktoś bardzo mi drogi zacytował w odpowiedzi słowa polskiego poety:

„Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy” – a co dopiero lasy spieniężać!

Mój dziadek obraził się na Kraków. Nie, nie zostawił dobrze prosperującego interesu, nie opuścił miasta – ale już go nie widział. Gdy jechał gdzieś dalej w interesach, to otwierał okienko powozu dopiero za rogatkami. A żonę, zresztą dość późno, wziął sobie ze swoich stron, ze szwajcarskiego miasteczka i z podobnie skromnej rodziny jak ta, z której się wywodził. Babka do końca życia była mu wdzięczna za niespodziewane i niezasłużone bogactwo, które wyrwało ją ze Szwajcarii. On zaś, o ile wiem, nie dawał jej odczuć, że jest bogata z jego łaski: jesteśmy protestantami i wiemy, że nic nie jest naszą zasługą, tylko darem Dobrotliwego Dawcy.

Mój ojciec, syn mojego dziadka, ożenił się jeszcze później niż on. Dziadka otaczało potępienie. Ojca Kraków potraktował łagodniej – ale jeśli nie było to potępienie, to milczenie na pewno. Trudno mu było szukać tutaj żony, nic więc dziwnego, że przywiózł ją sobie z podróży. Tym bardziej że mój ojciec był bardzo łagodnym i nieśmiałym człowiekiem, a lody zawsze łatwiej przełamać z cudzoziemcem. A jeszcze łatwiej z cudzoziemką. Po śmierci dziadka i po długiej żałobie mój ojciec postanowił pocieszyć się wyprawą do Włoch. Myślał, że poradzi sobie tam doskonale, jako że włoski znał po matce – okazało się jednak, że nasze rodzinne wyobrażenia o tym języku znacznie odbiegają od wyobrażeń włoskich. Na szczęście we Florencji poznał

uroczą córkę miejscowego profesora, która uznała za swój patriotyczny obowiązek pomóc sympatycznemu, choć podstarzałem i aż zawstydzająco nieśmiałoemu cudzoziemcowi. Zaczęła go uczyć słówek i od zwykłych słówek przeszli do czułych słówek, od pojęć ze słowniczka do pojęć, jakim dotąd mój skromny ojciec nie pozwalał zagościć w swojej głowie. Profesor z Florencji nie protestował, kiedy pojawiła się możliwość bogatego, chociaż egzotycznego mariażu: profesorska córka nie miała posagu. Nawet kalwiński ślub nie był dla niego przeszkodą: papież wyklął państwo włoskie, które odebrało mu wszystkie ziemskie posiadłości, zatem profesor, jako włoski patriota, wyklął papieża, i podobnie jak Garibaldi popierał nawet przechodzenie na protestantyzm. Jego żona, moja włoska babka, miała na ten temat zupełnie inne zdanie: przez całe życie pokutowała za to, że kocha patriotę, co wtedy znaczyło antychrysta i masona. Teraz miała dodatkowy powód do pokuty.

Krakowska babka natomiast przyjęła katolicką synową, biorąc ją w ramiona i przyciskając do serca, a następnie zarzucając ją potokiem włoskich słów – lub słów, które uważała za włoskie. Niestety, moja niezwykła mama za swój patriotyczny obowiązek uznała poprawianie teściowej. I następnego dnia babka wyprowadziła się z domu, z hukiem i ze swoimi służącymi. Zamieszkała przy cukierni, którą postanowiła odtąd zarządzać sama. Ojciec jej na to pozwolił, być może z pewną ulgą, ponieważ świetnie prosperujący

interes drzewny pochłaniał go bez reszty, a tymczasem cukiernia podupadała coraz bardziej. Szacowni krakowianie nie mogli zbojkotować drewna, drewno jest zawsze mniej lub bardziej anonimowe, bojkotowali więc ciastka rodziny, która, jak mówili, na narodowym pogorzeliśku tartak sobie kleci. Babka poświęciła się cukierni z wielką pasją, jak gdyby chcąc nadrobić fakt, że dostała ją już gotową, bez żadnej swojej pracy. Myślę, że próbowała tę swoją brakującą pracę wcisnąć wszędzie, gdzie się da, nawet w przeszłość cukierni – by w ten sposób z niezasłużonego daru uczynić własne dzieło, własną zasługę. Pracując nad tym intensywnie, doprowadziła zakład do całkowitego i ostatecznego bankructwa, po którym zaraz zmarła. Podobno umierała, płacząc. Utrata babki bardzo zmartwiła mojego biednego ojca. Utrata cukierni zmartwiła go mniej. Zapotrzebowanie na drewno rosło, może niespecjalnie w Galicji, ale na zachodzie Europy, i mój skromny, łagodny ojciec kupował karpackie lasy, budował w nich tartaki i wypalarnie węgla drzewnego, spławiał drewno do Bukaresztu, podpisywał kontrakty w Londynie i deponował kapitał w Szwajcarii.

Pewnego razu, kiedy ojciec był w długiej podróży do Londynu – tym razem szczególnie długiej, bo via Bukareszt, po załatwieniu spraw w Rumunii miał wsiąść na parowiec i przez Konstantynopol, Messynę, Genuę, Marsylię, Gibraltar dopiero udać się do Anglii – matka nagle kazała się pakować. Potem zaciągnęła nas wszystkich – siebie, nianię i mnie – do pociągu. Po raz

pierwszy wtedy znalazłem się poza Galicją. Najpierw jechaliśmy przez kraj Czechów i zaskoczyło mnie, jak bardzo spokojne mają oni twarze i oczy. Nie było w nich tego wyczekiwania i napięcia, jakie ma słaby drapieżnik wyczekujący momentu osłabienia potencjalnej ofiary: lis czekający, by obgryźć chorą sarnę. Potem była niemiecka Austria, gdzie twarze ludzi były nadal spokojne, chociaż trochę strapione, a potem nagle stały się ciemniejsze, bardziej wyraziście rzeźbione, ale za to nieprzeniknione – i to były Włochy.

Pamiętam bramę, przed którą stojąc w nieznanym mi dotąd upale, patrzyliśmy na cieniste drzewka figowe i nasłuchiwalismy plusku wody. Wszystko mnie swędziało, a równocześnie byłem mokry, ponieważ miałem na sobie ciemnogrnatowe ubranko, jakie nosiły wtedy dzieci. „Ależ proszę pani, nie róbmy skandalu, zawiozę panią do hotelu” – szeptał zaaferowany fiakier, który przywiózł nas tutaj ze stacyjki. „Nie” – odpowiadała tylko matka i stała dalej. Czekwała, w wielkim jasnym kapeluszu na swoich mocnych, kruczych włosach, upiętych w coś, co przypominało krakowski precel. Lubiałem precle i lubiałem włosy mamy, czułem przyjemny dreszcz i przyptyw siły, kiedy się do nich zbliżałem. Później dowiedziałem się, co znaczył ten przyjemny dreszcz i przyptyw siły, a jeszcze później – że nie ma się czego wstydzić, bo w najczystszą miłość zawsze wpleciona jest nuta ciemna i zmysłowa. Wtedy jednak miałem inne, chore dreszcze, od gorąca. Dlatego kiedy wreszcie w ogródku pojawiła się nieznana

czarna pani i zawołała: „Chłopiec może wejść, a – tu nieznane słowo – niech zostanie na zewnątrz”, kiedy uchyliła się przede mną brama i pograżyłem się wśród figowych drzewek – zadygotałem, dźgany jakby igłami z lodu. Nagle zrobiło mi się zimno, strasznie zimno, bo przegrzany wszedłem w cień. Czarna pani pomyślała, że to ze strachu, i przytuliła mnie do siebie.

Potem długo patrzyliśmy na pstrągi pływające w kanale, który czarna pani kazała wykopać dla nich w ogródku. Opowiadała mi o tym i o tym, jak mają na imię poszczególne pstrągi. Rozumiałem wszystko dobrze, bo odkąd zacząłem gaworzyć, matka rozmawiała ze mną po włosku. Matka po włosku, ojciec po niemiecku, a niania po polsku i do szóstego roku życia odruchowo zwracałem się po włosku do pań, po niemiecku do panów, a po polsku do wszystkiego, co miało zimny głód w oczach. A gdy miałem lat siedem, matka nauczyła mnie po włosku czytać, wkładając mi w ręce osobliwe książki, zbyt kwaśne i zbyt słodkie: *Pinokio* i *Serce*.

Tuląc mnie, czarna pani powiedziała coś, co jeszcze dzisiaj słyszę: „To bardzo ciężko kochać coś, co pójdzie na stracenie i potępienie, wzgardzone przez Boga i nawet przez Jego Matkę. Ja już nie Kocham swojej córki, ale Kocham Ciebie, mój potępiony wnuku, i modlę się o to, abyś się nawrócił, aby oszczędziły Cię ognie zniszczenia”.

Ognie zniszczenia nie oszczędziły mnie, przynajmniej nie wtedy, bo gdy czarna pani odeszła mnie do matki, miałem je wszędzie: na skroniach, na policzkach,

na całym ciele. „Co ona ci zrobiła? Czemu jesteś chory? Pobłogosławiła cię czy zrobiła to inne, to złe?” – pytała matka. „Pobłogosławiła” – odpowiedziałem, bo chyba to było błogosławieństwo. Chory od słońca i od cienia, niewiele widziałem. Pamiętam tylko obrzydliwie ostry blask słońca, potem znowu ciemność w pokoiku o zamkniętych okiennicach, gdzie leżałem na twardym łóżku i trząsałem się pod kompresem. To było w Livorno albo w Levanto, albo w Levante, w jakimś takim miejsku na L i z v, nie wiedziałem dokładnie, nie rozpoznawałem już żadnych słów, nie rozumiałem żadnego języka, nie rozumiałem włoskiego lekarza, który ciągle powtarzał to samo pytanie. I nagle do pokoiku wszedł ojciec.

To był cud. Ojciec powinien być w Bukareszcie albo w Londynie. Pojawił się tak nagle, tak cudownie, że spowodowało to następny cud. Tego dnia gorączka mi spadła i znikło uporczywe pragnienie. A wieczorem byłem zdrowy. Matka, klęcząc przed ojcem, błagała go o przebaczenie za to, że życie ich jedyne go syna zostało narażone. Zawsze dramatyzowała, ale trzeba jej przyznać, że dopóki miałem chociaż cień gorączki, udało jej się zachować spokój: zmieniała kompresy i przez cały czas czuwała przy moim łóżku. O przebaczeniu dla siebie pomyślała dopiero wtedy, gdy wyzdrowiałem. Ojciec, mój dobry, łagodny ojciec, milczał przez chwilę krótszą niż minuta, siedząc na włoskiej ciemnozielonej sofie. Potem objął mamę, uniósł na sofę i powiedział do niej: „Wszystko jest dobrze. Weź z tego tylko taką nauczkę, że chociaż nie

krzyczę i nie pieklę się, trzeba jednak mnie słuchać. I nie należy prosić o błogosławieństwo kogoś, kto cię przeklął”.

Trzy dni później byłem na tyle silny, aby pójść z ojcem nad morze. Więcej, miałem dość siły, aby wyblagać od matki pozwolenie, żeby pójść nad morze – co było dla mojego dochodzącego do siebie organizmu o wiele większym wysiłkiem niż sama wyprawa. Pomogło mi to, że od dawna marzyłem, aby morze zobaczyć, i mama o tym wiedziała. Nie mogła się zdecydować, czego się bać bardziej, żaru słońca czy powiewu nocy, kompromisowo wybraliśmy więc zmierzch.

Morze przestraszyło mnie. Pewnie dlatego, że po chorobie miałem jeszcze roziskrzoną, rozfantazjowaną wyobraźnię. W każdym razie w snach wyobrażałem sobie morze jako coś bardzo jasnego, ale ciepłego, w kolorze tęczyówek taty. I myślałem, że takie będzie, nawet o zmierzchu. Okazało się ciemne, wydawało się też chłodne przez swoją ciemną głębię. Od razu było widać, że jest głębokie, widać i słyszać – po tym, jak bujało się samo w sobie i basowo bulgotało-bełkotało do siebie. Była to przepaść wypełniona granatową ciemnością, a więc coś tak obcego i groźnego, jak tylko można sobie wyobrazić.

Ojciec wyjaśnił mi cud. Kiedy ja chorowałem w hotelu, matka wysłała telegram do Genui, doręczono go na parostatek, który właśnie przyплыł z Messyny, ojciec wysiadł i ruszył do mnie, do hotelu w Livorno. Zrobiło mi się jakoś przykro. Oczywiście, rozum zaraz zaczął

mi tłumaczyć, że to przecież niemożliwe, żeby ojciec był aż tak potężnym czarownikiem, by mógł cudownie zjawiać się tam, gdzie ja zachoruję. Pocieszyła mnie świadomość, że odłożył dla mnie podpisanie bardzo ważnego kontraktu w Londynie. A potem przypomniałem sobie, co dla swojego ojca robił jeden z bohaterów książki *Serce*, mały pisarczyk z Florencji – i zawstydzilem się, że się cieszę z kłopotu taty.

Nie zwierzyłem mu się z tego wszystkiego. Opowiedziałem mu za to, jak brzmiało błogosławieństwo babki, jeśli to było błogosławieństwo. Zapytałem go, co to znaczy: kochać coś, co jest przeznaczone na stracenie. Ojciec uśmiechnął się.

– Twoja babcia mówi tak, bo jest katoliczką – powiedział. – Myśli, że skoro jesteśmy protestantami, to On nas zniszczy i pójdziemy do piekła. Trudno jej marnować serce na kochanie czegoś, co i tak zostanie stracone.

Wiedziałem, kim jest On. Dobrotliwym Dawcą.

– Ale my nie pójdziemy do piekła?

– Nie. Dobrotliwy Dawca daje nam wszystko, także niebo i zbawienie.

– To katolicy pójdą na stracenie! – ucieszyłem się. – I to ja nie będę jej kochał!

Ojciec przyjrzał mi się uważnie. A potem przykląkł w swoich letnich, białych spodniach na mokrych, obłych kamieniach, zapewne bardzo twardych. Był zbyt nieśmiały, żeby nawet własnemu synowi długo patrzeć w oczy – ale przycisnął moją głowę do serca.

SPIS RZECZY

Część pierwsza GALICYJSKA WIOSNA	7
Część druga DER DEUTSCHE SOMMER	111
Część trzecia POLSKA JESIEŃ	141
Część czwarta UN INVIERNO TROPICAL	187

W powieści wykorzystano fragmenty utworów: *I saw a Chapel* Williama Blake'a w przekładzie Tomasza Piątka (s. 5), *Wyzwanie* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego (ss. 5, 179), *W biały dzień* Wisławy Szymborskiej (s. 5), *Psalm miłości* Zygmunta Krasińskiego (s. 42), *Sztandary polskie w Kremlu* Mieczysława Romanowskiego (s. 46), *Do matki Polki* Adama Mickiewicza (s. 48), *My, Pierwsza Brygada* (s. 77).

Redaktor serii: Dariusz Sońnicki

Redakcja: Dariusz Sońnicki

Korekta: Magdalena Stajewska, Małgorzata Denys

Redakcja techniczna: Anna Gajewska

Projekt okładki i stron tytułowych: Hanna Gill-Piątek

Fotografia autora: © Hanna Gill-Piątek

Wydawnictwo W.A.B.

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka,

Piaseczno ul. Żólkiewskiego 7a

Druk i oprawa: Drukarnia Wydawnicza

im. W.L. Anczyca S.A., Kraków

ISBN 978-83-7414-811-5

Początek wieku dwudziestego. I początek wieku dojrzewanego. Austriacko-szwajcarsko-włoski chłopczyk w cesarsko-królewskim Krakowie poznaje młodość i polskość. Tak się zaczyna opowieść o miłości do tego, co straszne i obce. Freud i Göring, psychoanalitycy i hitlerowcy, mroczna bóstwa podziemia i przelatujący nad Atlantykiem różaniec – wszystko to razem składa się na *pharmakon*. To greckie słowo znaczy równocześnie lekarstwo i jad węża. Być może kilka osób przeczyta tę książkę i coś się w nich zmieni. Bardziej prawdopodobne, że przeczyta ją kilka innych osób i będzie musiał emigrować do Argentyny.



Tomasz Piątek (ur. 1974)

wydał dwanaście książek, m.in.

Heroinę [2002, wznowienie W.A.B. 2009],

Pałac Ostrogskich [W.A.B. 2008]

i *Morderstwo w La Scali* [W.A.B. 2009].

Finalista Nagrody Literackiej NIKE 2009.

Zakładał kanał telewizyjny Kino Polska,

współpracował z wieloma innymi mediami

(m.in. TVP, Canal+, Radiostacja, „La Stampa”, „Polityka”,

„Krytyka Polityczna”). Był także tłumaczem więziennym,

kopaczem kompostu, bramkarzem na boisku

i bramkarzem w kinie Iluzjon.

www.wab.com.pl

978-83-7414-811-5



9 788374 148115

cena: 29,90 zł

W
ab
two